

NA MÓJ TEMAT

Luty. Wtorek rano. Wstaję z łóżka o zwykłej porze i człapię do łazienki, żeby wziąć prysznic przy zgaszonym świetle. To moja metoda na szkolne poranki — coś jak dodatkowe dziesięć minut snu.

Cała historia zaczyna się jednak dopiero wówczas, gdy wychodzę spod prysznica.

Wtedy, kiedy włączam światło i wycieram zaparowane lustro, żeby się uczesać. I chodzi właśnie o to, co widzę w lustrze. Czy może raczej: czego w nim nie widzę.

Przeglądam się jeszcze raz i raz jeszcze przecieram lustro.

Nie widzę własnego odbicia.

Tak, właśnie tak, jak mówię:

Nie widzę — własnego — odbicia!

Z lekka oszołomiony, wracam do łóżka, bo skoro śpię, łóżko jest po temu najwłaściwszym miejscem, tak czy nie? I cierpliwie czekam, aż się obudzę. Nie budzę się jednak — zrobiłem to przecież już dawno.

Serce zaczyna mi bić jak oszalałe. Mój oddech przyspiesza, nagle zaschło mi w ustach. Podnoszę głowę z poduszki i pod przykryciem rozpoznaję kształt mojego ciała. Leży sobie w pościeli jakby nigdy nic. Ściągam z siebie elektryczny koc i wierzchnie przecieradło.

Pusto.

Wracam do łazienki, przed duże lustro. Wciąż nie widać w nim mojego odbicia. Lustro jak lustro, wisi na ścianie, a mnie przed nim nie ma. Tymczasem zdaje mi się, że jednak jestem — bo przecież widzę to lustro, widzę mój ręcznik, którym powiewam w po-

wietrze, widzę, jak faluje zasłona prysznicowa, którą zdzieliłem przez srodek. Ale samego siebie nie dostrzegam.

Wpadam w panikę. Owijam się ręcznikiem w pasie i idę z tym fantem do moich rodziców.

To do mnie całkiem niepodobne. Niewiele jest spraw, z którymi do nich chodzę. Rodzice są dobrzy wyłącznie w małych dawkach; owszem, czasem potrafią być pomocni, ale z reguły znajomość moich planów skutecznie pozbawia ich tej zalety.

Muszę im jednak przyznać: są naprawdę inteligentni, a wszystko wskazuje na to, że przy rozwiązaniu mojego problemu inteligencja będzie potrzebna, więc idę prosto do kuchni. Wiem, że ich tam znajdę, bo to przecież zwykły dzień tygodnia, szkolny dzień, a w takie dni w naszym domu jajka i tosty wjeżdżają na stół o siódmej piętnaście. Niezmiennie.

Ruszam korytarzem w stronę schodów i zatrzymuję się tuż przed nimi. Niespodziewanie ogarnia mnie lęk. Zazwyczaj nie mam żadnych problemów z koordynacją ruchową — w miejscach publicznych nie robię z siebie idioty, nie upuszczam tacy w stołówce, nie potykam się na schodach, nie, nic z tych rzeczy. Lecz tego ranka staje przede mną nowe wyzwanie: brak rąk, ramion, nóg, stóp. Czuję je, ale ich nie widzę. Chwytam się kurczowo poręczy i kontrolując każdy krok, schodzę na dół ostrożnie jak trzylatek.

Staję w drzwiach kuchni, od płytek na podłodze bije ziąb. Tata smaży jajecznicę, mama czyta gazetę.

— Nie uwierzcie! Nie widzę sam siebie! — komunikuję.

Oboje kierują wzrok w stronę drzwi do salonu.

— W takim razie przyjdź tutaj, zobaczymy, w czym rzecz — mówi tata.

— Ale rzecz w tym, że ja już jestem tutaj! — wołam. — Nie widzę sam siebie! I wy też mnie nie wi-

dzicie. Nie można mnie zobaczyć, przecież mówię: jestem niewidzialny!

Mama spogląda na tatę, posyła mu uśmiech z gątku „ach, te dzieciaki!”, którego szczerze nienawidzę, i wraca do lektury.

— Dość tych wygłupów, Bobby — komenderuje swoim Urzędowym Głosem sponad gazety. — Za dwadzieścia minut odjeżdża twój autobus. Wyłącz mikrofon, krótkofalówkę czy to, czym się tam zabawiasz, odwieś na miejsce ten mokry ręcznik i siadaj do śniadania, no już!

Pozwólcie, że wam przedstawię moją Profesor Mamę, znaną też jako Pani Dyrektor. Jej motto życiowe brzmi: „Jeśli masz wątpliwości, wydaj polecenie”. Mama przyzwyczaiła się do swoich studentów — spłoszonych pierwszoroczniaków, których uczy literatury na University of Chicago. Spodziewa się, że na „młodych ludzi” wystarczy warknąć, a pokornie podkula ogony.

Zostałem oskarżony. „Wygłupiam się”, „zabawiam”. Wiecznie to samo. W tej sytuacji odsuwam sobie krzesło, siadam do stołu, sięgam po mój sok pomarańczowy, wypijam go do dna i z impetem odstawiam pustą szklankę na podkładkę przy moim nakryciu.

Tym sposobem udaje mi się przykuć uwagę obojga rodziców. Skutecznie.

Tata przestaje mieszać jajecznicę i wpatruje się w moją pustą szklankę. Mama pochyła się ku mnie tak gwałtownie, że przewraca własną szklankę z sokiem, który ścieka jej na kolana. Nie zwraca na to uwagi.

— To taka sztuczka, tak? — upewnia się tata. — To zrób coś jeszcze.

Biorę ze stołu moją łyżeczkę, liżę ją i wieszam sobie na nosie — efektowny numer także w przypadku, kiedy wasz nos jest widoczny i na swoim miejscu. Łyżeczka zawisa w powietrzu.

— Bobby? — odzywa się piskliwie mama. — Prze-
stań zaraz!

I znowu polecenie.

— Ale ja nic nadzwyczajnego nie robię, mamó.
To się dzieje samo.

Łyżeczka spada i z brzękiem uderza o podłogę. Podłogę z ceramicznych płytek w starej wiktoriańskiej kuchni domu stojącego w Chicago; jest luty, siedzę na dębowym krześle przepasany mokrym ręcznikiem. Trzęsę się z zimna.

Tata wyłącza palnik pod jajecznicą.

Czy kiedykolwiek mieliście okazję wysłuchać wykładu, co dokładnie, z naukowego punktu widzenia, zachodzi podczas procesu smażenia jajek? Bo ja z dziesięć razy.

Tata zatrzymuje się pośrodku kuchni z drewnianą łyżką w jednej i patelnią w drugiej ręce. Jego wyraz twarzy mówi sam za siebie: oto Skonsternowany Fizyk przy pracy. Lada chwila należy się spodziewać sformułowania teorii naukowej. Tata i tym razem nie zawodzi moich oczekiwań:

— Jako że nie możemy wszyscy tego śnić... najprawdopodobniej jesteśmy świadkami pewnej anomalii światła widzialnego — stwierdza. — Czytałem pracę naukową na ten temat — to znaczy, te badania były czysto teoretyczne, a to... to jest fakt empiryczny, fenomen!

Bardzo pożyteczna obserwacja. Ten facet jest nieuleczalnym pasjonatem fizyki. Nauka pochłania go bez reszty. Pracuje w FermiLabie, gdzie zajmuje się rozszczepianiem atomów i robieniem zdjęć tego, co po nich zostało. Życie jest dla niego jednym wielkim eksperymentem naukowym.

Swój wywód tata wspomaga wymowną gestykulacją, nie wypuszczając łyżki; jajeczne skrzepy rozpryskują się po całej kuchni. Mama próbuje coś po-

wiedzieć, ale udaje jej się wyartykułować tylko serię pisków. Zaczynam się zastanawiać, kiedy do głosu dojdzie ich słynna inteligencja.

Tata niemal natychmiast odzyskuje kontrolę nad sytuacją. Ściera rozlany sok mamy, rozdziela jajecznicę na trzy talerze i siada do stołu. Tata i ja zaczynamy jeść, ale już po chwili tata zamiera bez ruchu, przyglądając się, jak widelec z jajecznicą znika w moich ustach. Mama robi dokładnie to samo. Sam też patrzę. Niezły obraz: „Bobby i Jego Znikające Śniadanie”, do obejrzenia na dużym ekranie życia w kuchni państwa Dziwaków.

Mama wyciąga rękę w kierunku, gdzie, jak sądzi, powinno się znajdować moje ramię. Chybia o jakieś trzydzieści centymetrów, więc pochylam się ku niej, żeby jej rzecz ułatwić. Kiedy jej ręka natrafia na moją skórę, mama dostaje ataku hysterii, zupełnie jakby dotknęła jaszczurki czy czegoś takiego.

— Och! Boże! Boże miłosierny! To Bobby! To on! Siedzi tutaj! On jest... on nie jest... Och, Boże, David, zrób coś! Musimy... musimy zadzwonić do doktora Westona — albo do kogoś innego, do jakiegoś... do jakiegoś specjalisty!

Cudownie, myślę sobie. No jasne, zadzwońmy do Specjalisty ds. Niewidzialnych Nastolatków. Zaraz skoczę po książkę telefoniczną.

Ale tego nie mówię. Stwierdzam natomiast:

— Już dobrze, mamu, uspokój się. Przecież nic mi nie dolega. Jestem cała i zdrowy. Sama zobacz, jem zdrowe śniadanie, które wzmacnia organizm na dwaście sposobów. Nic mi nie jest, mamu, naprawdę.

Wyciągam rękę i poklepuję ją po dłoni. Mama aż się podrywa, ale zaraz chwyta moją dłoń obiema rękami i ściska ją tak mocno, że czuję, jak moje palce zmieniają się w sałatkę z tuńczyka.

Mama kołysze się lekko w tył i w przód na swoim

krześle, starając się uspokoić oddech. Nie wie, gdzie patrzeć. Bombarduje wzrokiem miejsce, na którym siedzę, wreszcie skupia się na trzymanej przez siebie ręce — pustej przestrzeni, którą zamyka w dłoniach i która przypomina w dotyku rękę jej jedyne go syna, małego Bobby'ego, największego rozczarowania życiowego Pani Dyrektor.

Do akcji wraca tata. Odchrząkuje. To oznacza, że wie coś, czego my nie wiemy, i chce zyskać pewność, że wysłuchamy go w skupieniu.

— Emily, spróbuj pomyśleć jasno. Nie możemy o tym powiedzieć nikomu. Nikt się nie może dowiedzieć. Ani twoi rodzice, ani doktor Weston, ani Margie, ani Louis, absolutnie nikt. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby informacja o tym — cokolwiek to jest — przedostała się do wiadomości publicznej. Za pół godziny mielibyśmy za progiem wszystkich fotoreporterów świata. A rząd? Znam ja ten rząd, byliby tu po dziesięciu minutach, żeby zabrać Bobby'ego w „bezpieczne miejsce”. A CIA i szefowie sztabów, sądzisz, że to by ich nie zainteresowało? Głowę daję, że tak. I dlatego nikomu nie powiemy.

Tata milknie, żeby dać nam czas na przemyślenie sprawy.

W normalnych warunkach, kiedy rodzina przeżywa kryzys albo kiedy w domu dzieje się coś złego, trzeba poszukiwać pomocy z zewnątrz. Jeśli Bobby zostanie przyłapany na drobnej kradzieży w sklepie, należy zadzwonić do prawnika. Kiedy obrączka mamy wpadnie do rury odpływowej, telefonuje się po hydraulika. Gdy grillujący tata zaproszy ogień na tarasie, wzywa się straż pożarną. Ale kiedy pewnego ranka Bobby rozpuszcza się podczas kąpieli pod prysznicem? Gdzie należy zadzwonić? Nigdzie. Tata ma rację. To musi zostać między nami.

— Ale kto wie? Może za pół godziny wszystko

wróci do normy? — Tata z fałszywym optymizmem w głosie wraca do tematu. — Tak czy inaczej, nikomu o tym nie mówimy. Umowa stoi?

Mama po namyśle kiwa głową na znak zgody, ja robię to samo.

Tata spogląda w moją stronę i pyta:

— Ty też się zgadzasz, Bobby?

Wtedy uświadamiam sobie, że tata nie mógł zobaczyć mojego przytaknięcia.

Mówię więc:

— Absolutnie. Moje niewidzialne wargi nie puszcza pary z gęby. Ale mama ma rację: nawet jeśli nic nikomu nie powiemy, to chyba powinniśmy jednak coś w tej sprawie zrobić?

— Zrobić? — zastanawia się tata. — Cóż... najpierw musimy pomyśleć. Rzeczy niemożliwe się nie zdarzają, a wszystko, co się wydarza, dzieje się podług określonych zasad. To znaczy, istnieją tylko przyczyny i skutki. Patrzymy na skutek, który musiał mieć jakąś przyczynę. Znajdziemy przyczynę, odwrócimy ją i w ten sposób wyeliminujemy skutek.

Niereformowalny fanatyk fizyki.

Wyraz twarzy mamy, która najwyraźniej też nie kupuje naukowych wywodów taty, prowokuje mnie do wygłoszenia złośliwego komentarza.

— Wszystko pięknie, tato — oświadczam. — Tylko że to nie jest żadna odpowiedź na pytanie zasadnicze, które brzmi: co mam z tym fantem robić — teraz, przez cały dzisiejszy dzień, i pewnie jutro... i może nawet w przyszłym tygodniu. To nie laboratorium naukowe, to moje życie! Dlaczego po prostu nie przyznasz, że prawda jest taka, że nie masz pojęcia, co mam teraz zrobić?!

Moja przemowa przywraca mamę do życia.

— Hola, mój panie!

To zawsze działa. Za każdym razem, kiedy się

skrzywię albo coś odpyskuję, cudownym sposobem ze zwykłego smarkacza przeistaczam się w „pana”.

— Twój ojciec i ja zawsze byliśmy odpowiedzialnymi rodzicami i taki... taki... dość szczególny problem niczego w tej kwestii nie zmienia — ciągnie mama. — Dlatego bądź łaskaw zachowywać się przyzwoicie i wyrażać w sposób cywilizowany. Zrobimy wszystko, co tylko będzie możliwe, i dobrze o tym wiesz!

— Oczywiście, że tak — przytakuje tata. — Spróbujmy ochłonąć, przede wszystkim musimy zebrać myśli. Nie ma takiego problemu, którego nie dałoby się rozwiązać, ani procesu, którego nie można by wytłumaczyć. Musimy tylko myśleć jasno.

Co oczywiście oznacza: myśleć tak jak on.

Oboje mówią do mnie podniesionym tonem; jeszcze wczoraj zwyczajnie bym się zamknął albo wybąkał jakieś przeprosiny. Doprawdy zadziwiające, jakie pokłady odwagi można w sobie odkryć, kiedy ludzie, którzy przez piętnaście lat dyrygowali waszym życiem, nagle nie mogą zobaczyć niesmaku na waszej twarzy.

Wstaję z miejsca tak gwałtownie, że moje krzesło z hukiem przewraca się do tyłu. Zrywam ręcznik z bioder i rzucaam go na stół.

— A co powiecie na to?! — krzyczę. — To może zniknę na jakiś czas? A wy sobie w spokoju jasno pomyślcie. Zejdę wam z widoku, gdzieś się zaszyję. I potem to ja wam powiem, co wymyśliłem!

Bezszelestnie cofam się o trzy kroki i ustawiam przy drzwiach do kuchni, koło telefonu.

Pięć, sześć, siedem... dziesięć sekund.

— Bobby?! — Mama podrywa się z krzesła, wlepiając oczy w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą byłem, wyczuwa jednak, że już mnie tam nie ma. — Bobby! Przestań natychmiast!

Wyraźnie wpadła w panikę. Zdaje sobie sprawę, że przez ten czas mogłem już wyjść z domu i wsiąść do

autobusu. Rozgląda się na wszystkie strony, załamując ręce i przygryzając dolną wargę, wreszcie zaczyna histerycznie krzyczeć:

— Bobby?! BOBBY?!

Tymczasem tata w ogóle nie rusza się z miejsca — siedzi przy stole z rękoma na blacie i gapi się w podłogę, kręcąc głową. Znowu postępuje zgodnie z zasadami logiki: od razu widzi, że to ja jestem panem sytuacji, więc nie marnuje energii.

Ale wtedy zaczynają się łyzy. Mama opada bezwładnie na swoje krzesło i uderza w płacz, a tego nie potrafię znieść. Nie mogę znieść jej łez. Muszę ustąpić.

— No dobrze już, dobrze — mówię bardzo cicho. — Jestem tutaj. Tylko nie zapominajcie, że to ja mam problem, a nie wy.

Bo zawsze tak reagują. Mam kłopoty w szkole, a wtedy okazuje się, że to oni mają poważne zmartwienie i że to oni muszą znaleźć wyjście z impasu, w którym to oni się znaleźli.

Mama jest wściekła, ale poczucie ulgi bierze górę:

— Robercie, to było podłe. To... nieuczciwie chować się w ten sposób! Obiecuj mi, że już więcej tego nie zrobisz.

I oto nie jestem już „panem”. Teraz jestem Robertem i mam złożyć obietnicę jej.

Cóż robić, obiecuję — krzyżując niewidzialne palce, oczywiście.

— Czy wy w ogóle wiecie, o czym ja mówię? — wracam do tematu. — Chodzi mi o to, że to nie jest tylko jakiś tam fenomen. Ani też przypadek ospy wietrznej czy zwykłej grypy. To coś zupełnie innego, i spotkało akurat mnie. Nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego i o tym właśnie mówię: co ja mam teraz zrobić?

I wtedy zaczynam się bać. Bo to, co powiedziałem, jest prawdą.

Straszliwą prawdą. Stoję w kuchni, moje stopy kostnieją z zimna na lodowatej posadzce, a przede mną otwiera się perspektywa dożycia końca moich dni jako nieprawdopodobny dziwoląg.

Nie mam szans na wyjście z domu. Ubrania powinny okrywać jakieś ciało, a moje ciało gdzieś się podziało. Mógłbym wychodzić nago, ale chodzenie nago nie leży w zwyczajach zdrowych na umyśle mieszkańców Chicago, a już z pewnością nie w lutym.

Szkoła? Spokojnie postawmy na niej krechę. Bez większego żalu. To szkoła eksperymentalna, działająca przy uniwersytecie; wykładowcy, miejscowi geniusze i reszta jajogłowego towarzystwa posyłają tam swoje dzieci. Rzekomo jest zupełnie rewelacyjna, lepsza niż Francis Parkman, ba, North Shore Country Day ponoć nie może się z nią równać. Pitu-pitu-pitu-pitu. Wytrzymuję tam z dużym trudem. Wyjątek czynię dla bibliotek. I zespołu jazzowego.

Nie, wcale nie jestem jakimś nawiedzonym samotnikiem. Mam przyjaciół, mam się do kogo przysiąc w stołówce, wszystko gra. Po prostu nie jestem typem ucznia prywatnej szkoły. Chodzę do niej, bo moja rodzina przeprowadziła się tutaj przed sześcioma laty. Poza tym mama wyklada na uniwersytecie, więc płacimy niskie czesne. Być może moja szkoła jest prawdziwym rajem dla prymusów, mistrzów futbolu i im podobnych, ale dla kogoś takiego jak ja to po prostu szkoła.

Ale w tej chwili mam ją z głowy, przynajmniej na... no cóż, przynajmniej na dzisiaj.

Stoję goły na środku kuchni i trzęsę się z zimna. Spoglądam na rodziców, którzy nadal siedzą przy stole. Kompletnie zbici z tropu. Jeszcze nigdy nie widziałem ich w takim stanie — i to jest chyba najstraszniejsze ze wszystkiego. Mając rodziców takich jak moi, człowiek przyzwyczaja się do tego, że zawsze

ktoś mu powie, co ma robić. Tym razem rodzice nie mają pojęcia. Nie orientują się w tym temacie.

Jak mogłem kiedykolwiek wierzyć, że oni znają odpowiedzi na wszystkie pytania?

Prawdą jest, że wiedzą mnóstwo mniej lub bardziej interesujących rzeczy. Mama świetnie zna się na polityce, historii i literaturze angielskiej, a tata jest patentowanym bystrzakiem i ma gigantyczną wiedzę. No i bardzo pięknie. Ale wszystko to nie przydaje mi się teraz na nic.

Patrzę na siedzących bez ruchu rodziców.

— Będę u siebie. Muszę znaleźć jakieś wyjście z tego impasu.

Właśnie tak. To ja muszę znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, ponieważ ten problem dotyczy właśnie mnie.